

Marek A. Cichocki: Reformacja – bunt wobec Rzymu?

Reformacja chciała wydobyć esencję chrześcijaństwa, uwalniając je od rozbudowanej, zafałszowanej formy rzymskiej, ale – w przypadku Niemiec – uruchomiła proces odwrotny, który z czasem pozbawił religię jakiegokolwiek głębszego sensu – mówił Marek A. Cichocki w rozmowie z Grzegorzem Górnym. W „Teologii Politycznej Co Tydzień”: (Re)formacja po polsku przypominamy tę rozmowę.

Grzegorz Górny: Thomas S. Eliot mówił, że polityka jest funkcją kultury, a sercem kultury jest religia. Idąc tym tropem, żeby zrozumieć dzisiejsze Niemcy, trzeba odwołać się do sfery duchowej. Czy w tej dziedzinie zaszły jakieś znaczące zmiany w ostatnim ćwierćwieczu, już po upadku komunizmu?

Marek A. Cichocki: To serce, o którym mówił Eliot, przestało bić już dość dawno. Jest martwe. Jest niczym twardy, granitowy kamień w kształcie sześcianu, który znajduje się w tak zwanej Sali Skupienia w niemieckim Bundestagu. Religia w niemieckiej tradycji politycznej została całkowicie zneutralizowana, a po teologii pozostało jedynie blade wspomnienie jako źródle współczesnych pojęć politycznych. Natomiast żywym punktem odniesienia dla niemieckiej polityki pozostaje pewna koncepcja kultury.

Gdzie był ten punkt zwrotny, ten moment, od którego owo serce religii przestało bić?

Sekularyzacja zaczęła się dawno. Jest ona wynikiem długiego procesu intelektualnego i kulturowego, który sięga jeszcze czasów reformacji, potem oświecenia, kantyzyzmu, heglowskiej historiozofii, niemieckiego idealizmu, marksizmu, wreszcie liberalnego protestantyzmu. Reformacja chciała wydobyć esencję chrześcijaństwa, uwalniając je od rozbudowanej, zafałszowanej formy rzymskiej, ale – w przypadku Niemiec – uruchomiła proces odwrotny, który z czasem pozbawił religię jakiegokolwiek głębszego sensu. Potem doświadczenie wilhelmińskie, gdy protestantyzm został całkowicie podporządkowany państwu, zinstrumentalizowało religię i pozbawiło ją wymiaru transcendencji. Później jeszcze przyszło traumatyczne doświadczenie II wojny światowej, które zrodziło przekonanie, że trzeba raz na zawsze skończyć z teologicznym aspektem polityki, ponieważ jest on niebezpieczny. W takim duchu działała po wojnie lewicowa szkoła krytyczna. W efekcie niemiecka myśl polityczna jest dziś mieszaniną dwóch elementów. Z jednej strony to technokratyzm, dążenie do skuteczności, instrumentalny racjonalizm i Realpolitik, a z drugiej – odniesienie do uniwersalizmu i humanistycznych wartości, utopia.

Sfera kultury ma jednak przełożenie na konkretne projekty polityczne. Jakie?

Wystarczy spojrzeć, jak niemiecka polityka wyobraża sobie rozwiązanie kryzysu w strefie euro czy kryzysu imigranckiego. Część decyzji wynika z Realpolitik i konkretnych interesów niemieckich. Utrzymanie euro

pozwała niemieckiej gospodarce skutecznie zarabiać na nadwyżkach handlowych i być konkurencyjnym wobec każdego państwa w Unii. Polityka otwartych drzwi dla imigrantów podyktowana została praktyczną kalkulacją dotyczącą potrzeb niemieckiego rynku pracy. Z drugiej jednak strony polityka ta stale odwołuje się do idealistycznych wartości, silnie oddziałujących na emocje, takich jak: dobro ludzkości, solidarność, sprawiedliwość, ofiarność, oszczędność. Niemiecki model polityki ma więc charakter Janusowy, jest ciągłą zdolnością uniwersalizowania niemieckiego partykularyzmu.

Ten model oparty jest jednak na pewnych założeniach przedpolitycznych, metafizyce czy moralnej hierarchii wartości.

Figurą, która dobrze ilustruje tę kwestię, jest figura Fausta. Niemiecka duchowość jest bardziej faustowska niż chrześcijańska. Niemcy żyją bowiem w kompleksie Fausta. Istnieje wśród nich poczucie szczególnej odpowiedzialności za świat, ale ten świat musi być ciągle przetwarzany, musi się rozwijać, musi iść do przodu. A właściwie musi być popychany do przodu właśnie przez Niemcy. Widzą oni swoją rolę jako ci, którzy są w stanie zmieniać rzeczywistość w pożądanym kierunku. Jest to pewien rodzaj duchowego perpetuum mobile, który nie ma początku ani końca. To niekończące się zadanie, wobec którego staje każdy Niemiec. A także każda niemiecka formuła polityczna. W pewnym sensie jest to więc figura pozadziejowa.

Co to znaczy?

Nie mając kresu, faustowska figura stawia się poza czasem, w wymiarze wieczności. Kwestia śmierci, indywidualnej śmierci człowieka, znika jako problem istotny. Liczy się tylko to, że każde pokolenie musi podejmować na nowo to samo wieczne zadanie. Stąd bierze się ten dziwny stosunek współczesnych Niemców do problemu śmierci, który przestaje być dla nich ważny. Przestaje być ważny dla losów pojedynczego człowieka, który normalnie musi zmierzyć się z faktem własnego przemijania, a zostaje wpisany w łańcuch wiecznego, niekończącego się zadania, realizowanego w imieniu ludzkości przez Niemcy.

W Polsce śmierć jest rodzaju żeńskiego. To kobieta, która przynosi ukojenie. Matula, która utula. Natomiast w języku niemieckim śmierć jest rodzaju męskiego. To on – der Todt, mistrz z Niemiec. On nie przychodzi po to, by dać ci ukojenie, ale po to, byś zdał mu relację ze swojego życia, czy wypełniłeś powierzone ci zadanie.

To jest właśnie ten kamień probierczy: ile udało ci się w życiu zrobić? Liczysz się tylko w tym wymiarze, w jakim wykonałeś zadanie. Cały sens twojego życia jest w nim zawarty.

Feliks Koneczny zaliczał Polskę i Prusy do odrębnych kategorii cywilizacyjnych. Według niego, my wpisujemy się w model cywilizacji łacińskiej, a Prusy – co wielu może zaskakiwać – do bizantyjskiej. Ale Niemcy starali się wyrąbywać swoją niezależność od łacińskiego Rzymu jeszcze przed reformacją i pojawieniem się Prus.

Trzeba zauważyć, że Niemcy są wewnętrznie rozłamane. Linia tego podziału przebiega mniej więcej wzdłuż Renu i Dunaju. Nie przez przypadek jest to granica dawnego rzymskiego imperium. Jedni postrzegają swoją niemieckość jako część cywilizacji łacińskiej, co pokrywa się terytorialnie z landami katolickimi na zachodzie i południu. Inna część, związana bardziej z regionami północnymi i wschodnimi, wyraziła się natomiast podczas reformacji jako bunt wobec Rzymu. To miało swoje głębsze podłoże niż tylko papieństwo i dotyczyło oporu wobec rzymskiego świata w ogóle.

Nawet bardzo wcześnie, przed chrystianizacją Rzymu. Przypomnijmy bitwę w Lesie Teutoburskim w 9 r. n. e., gdy germańskie plemiona pod wodzą Arminiusza pokonały niezwyciężone legiony rzymskie.

To wydarzenie stało się w niemieckiej historiografii toposem. Było przełomowym momentem w historii, ponieważ Germanie dokonali rzeczy niewyobrażalnej, porównywalnej ze zwycięstwem greckich pasterzy nad armią perską. A przecież Persja była potęgą zarówno militarną, jak i cywilizacyjną. Podobnie było z Germanami: ludzie pozbawieni cywilizacji pokonali największe ówczesne mocarstwo reprezentujące najbardziej zaawansowaną cywilizację. To wydarzenie stało się elementem budowania niemieckiej mitologii narodowej w XIX i XX w. Było traktowane jak moment, w którym Niemcy zaczęli postrzegać siebie w roli alternatywnego ośrodka cywilizacyjnego wobec Rzymu.

Co ciekawe, takie wątki pojawiły się w tym roku w wystąpieniu przewodniczącego niemieckiego episkopatu, kardynała Reinharda Marksa, który podczas konferencji w Hildesheim powiedział, że Niemcy nie są filią Rzymu, a niemiecki Kościół jest pionierem światowego duszpasterstwa. Widać tu więc ten antyrzymski resentyment oraz faustowską chęć przewodzenia w ulepszaniu świata. To nie jest już myślenie charakterystyczne tylko dla protestantyzmu. Ono wdarło się w samo centrum niemieckiego katolicyzmu.

Formuła nowoczesnego państwa niemieckiego, którą narzuciły reszcie kraju Prusy za czasów Bismarcka, zakorzeniła się głęboko, nawet mimo historycznego i wyznaniowego podziału. Niemiecka koncepcja państwa i narodu wyrasta – w odróżnieniu od polskiej – z przewyższenia teologii i chrześcijaństwa. W tej perspektywie nie jest istotne, czy jesteście katolikami, czy protestantami; liczy się to, że mamy podobne podejście do świata i człowieka. Żeby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać teksty wystąpień Jana Pawła II w polskim sejmie oraz Benedykta XVI w niemieckim Bundestagu. Widać w nich bardzo głęboką różnicę kulturową na poziomie argumentacji.

Na czym polega ta różnica?

Dla Jana Pawła II państwo i polityka są doczesnymi sposobami przeżywania prawd objawionych o Bogu i człowieku. Stawiając sprawę w ten sposób, bez problemu odnajduje on kontakt ze swoimi polskimi słuchaczami. Natomiast Benedykt musi odwoływać się do innych argumentów, ponieważ wie, że dla Niemców państwo i polityka są

efektem przezwyciężenia tychże prawd objawionych. Jego wystąpienie koncentruje się więc na tym, by pokazać swym odbiorcom, jakie niebezpieczeństwa mogą wynikać z takiego podejścia.

No właśnie, jakie?

To przede wszystkim redukcja osoby człowieka do wymiaru efektywnego wykonywania zadań. To nadawanie sensu ludzkiego życia przez pryzmat sukcesu bądź porażki w zadaniu przetwarzania świata. Benedykt XVI przestrzega przed taką instrumentalizacją naszego istnienia. Myślę, że Polacy często odczuwają w Niemczech pewien duchowy dyskomfort, gdy stykają się z taką niemiecką formą życia społecznego. Nie odnajdujemy się w tym do końca, ponieważ jest to dla nas model obcy.

Ale nie zawsze przecież tak było. Choć Niemcy pozostawały pęknięte, to jednak był czas, że dominował w nich model łaciński. Tak było chociażby w RFN. Konrad Adenauer szczerze nienawidził Prus. Stolicą był Bonn, a nie Berlin.

Warto jednak zauważyć, że republikę bońską tworzyli nie tylko chadecy, jak Adenauer, który najlepiej czuł się nad jeziorem Como, ale również technokraci z północy, jak Helmut Schmidt z Hamburga. Tylko, że okres 1945-1989 stanowił w historii Niemiec raczej wyjątek niż regułę. Był to czas, kiedy kultura polityczna Niemiec Zachodnich była najbardziej zwesternizowana ma modłę anglosaską. To zaczęło zniknąć po zjednoczeniu Niemiec. Gdy Kohl zaprosił do Niemiec Margaret

Thatcher, to pokazał jej katedrę w Spirze jako punkt odniesienia dla reńskiej tradycji politycznej, zakorzenionej w historii średniowiecznej Europy. Teraz tym punktem odniesienia jest Berlin.

To jakiś znak czasu, że najważniejsze stanowiska państwowe w Niemczech pełnią dziś politycy z NRD: premier Merkel i prezydent Gauck. Mówiono, że to RFN wchłonie NRD, ale ten proces nie jest wcale taki jednokierunkowy.

Niemcy nie widzą się już jako część anglosaskiego Zachodu, ale raczej jako model konkurencyjny wobec niego. To mistrzowie z Niemiec, nauczyciele dla pozostałych narodów w Europie, które mają prawo pouczać. Perykles w swej mowie pogrzebowej mówił, że Ateńczycy są nauczycielami całej Grecji. Dziś Niemcy widzą się jako nauczyciele całej Europy.

Stawiane zadania wynikają jednak ze skali możliwości. Jakie możliwości działania mają dziś Niemcy?

Powtarza się sytuacja, gdy Niemcy są za małe, by być mocarstwem globalnym i porządkować świat, ale są zbyt duże na Europę. Gdy są zintegrowane w jeden model polityczny i kulturowy, zaczynają dominować nad całym kontynentem. Problem polega na tym, że ta dominacja łączy się z chęcią narzucania zadań innym narodom. Pokolenie Kohla miało silne przekonanie, wyrosłe z doświadczeń wojny, że Niemcy powinny się w tym samoograniczać. To jednak minęło. Przełomem w świadomości politycznej stał się kryzys w strefie euro w latach 2008-2009. Niemcy zobaczyli, że nikt nie chce podjąć się

zadania, jak wyjść z tego kryzysu. Powiedzieli więc sobie: jesteśmy jedyni, którzy są do tego zdolni. Przestańmy się oszukiwać i zacznijmy głośno mówić, że podejmujemy się tego zadania. Jako jedyni możemy zbudować paneuropejski porządek, zdefiniować jego reguły i dopilnować, by wszyscy się do nich stosowali. Jest to zgodne z ich konstrukcją duchową. Ale w tym jest zakodowana ich klęska.

Dlaczego?

Próba narzucenia paneuropejskiego porządku jest z natury rzeczy niemożliwa do zrealizowania. Większość Niemców jest przekonana, że ich model polityczny i gospodarczy jest najwłaściwszy. Są z tego niesłychanie dumni. Ale nie są w stanie zrozumieć, że ktoś inny może uważać ten model za nieadekwatny dla siebie. Prezentowany przez Niemców typ uniwersalizmu uniemożliwia bardziej otwarte podejście do innych modeli życia społecznego. Już teraz Niemcy napotykać na opór ze strony Brytyjczyków czy krajów Południa. Europa jest zróżnicowana. Absurdalne jest przekonanie, że wszyscy ulegną temu faustowskiemu kompleksowi. Ten niemiecki kompleks dobrze opisał francuski autor Bernard Nuss. Zauważył on, że w owym pragnieniu przemieniania świata, które Niemcy mają w sobie tak głęboko uwewnętrznione, zawiera się koncepcja nieśmiertelności. Ale tkwi w tym także źródło ich porażki. Nie można bowiem przetwarzać świata bez końca.

Czy widać już zapowiedzi tej klęski?

Niemcy stawiają sobie zadania i mówią: damy radę! Euro? Sprostamy! Uchodźcy? Sprostamy! Tylko inni muszą robić to samo co my. To się do pewnego momentu sprawdzało, ale teraz zaczyna się powoli rozpadać za sprawą napływu setek tysięcy muzułmańskich imigrantów. Wielu zaczyna wątpić, czy damy radę. Pojawia się więc Faust wątpiący. Kiedy Faust zaczyna wątpić, popada w melancholię albo w furję.

Faust nie wątpi jednak w Unię. Powstała ona po to, żeby Europa nie była niemiecka, lecz żeby Niemcy były europejskie. Dziś jednak widzimy, że struktury unijne stają się instrumentem Berlina.

Z jednej strony jest to efekt niemieckiej przewagi, ale z drugiej – słabości innych. Obserwujemy implozję Francji, która zapada się w sobie i nie jest w stanie być alternatywą dla Berlina. Brytyjczycy jak zawsze zachowują pewien dystans wobec kontynentu. Nasz region z kolei dopiero kształtuje powoli poczucie swojej odrębności oraz podmiotowości i nie jest w stanie jeszcze wyartykułować własnej formuły tego, jak powinna wyglądać polityka, kultura, gospodarka.

Niemcy prowadzą też ofensywę w dziedzinie polityki historycznej, w której zredukowane zostaje ich poczucie odpowiedzialności za zbrodnie II wojny światowej.

Niemcy zbudowali swoją kulturę polityczną na przepracowaniu, a właściwie przewyciężeniu historii. Zauważmy, że w kontaktach z nimi dominują dwie postawy. Jedni twierdzą, że przeszłość została

ostatecznie przewyciężona i oddzielona grubą kreską. Drudzy z kolei wciąż przepraszają za to, co się wydarzyło. Są to postawy dość irytujące. To pokazuje jednak, że nie ma dobrego rozwiązania wobec tego, co w historii zrobiło niemieckie państwo i niemieccy obywatele. Dziś przeważa jednak opinia, że Niemcy odrobili lekcję historii i znaleźli się w lepszym posthistorycznym świecie. Teraz żywią oczekiwanie, że inne narody, tak jak oni, również uwolnią się od swojego balastu historii. Stąd bierze się dzisiejsza niemiecka wizja Europy jako obszaru poza historią.

Ale przecież sami wracają do historii. Budują np. Centrum Przeciw Wypędzeniom.

Ich polityka historyczna jest specyficzna. Istnieje w Niemczech dużo instytucji, które pokazują nazistowską przeszłość i zbrodnie hitlerowskie. Są to jednak ekspozycje pozbawione kontekstu historycznego, wyprane z emocji, wręcz ascetyczne. Historia zostaje sprowadzona w nich do statystyki i suchych encyklopedycznych informacji. Oglądając je, trudno wyobrazić sobie, że ta nazistowska przeszłość jest częścią wspólnego niemieckiego losu. Staje się ona odrębnym od narodu wydarzeniem z historii, który oglądamy z zimnym obiektywizmem, nie wchodząc emocjonalnie w te historie. Stąd właśnie bierze się wizja nazizmu bez Niemiec. Wizja narodowego socjalizmu, która abstrahuje od niemieckiej historii, kultury, polityki.

Czyli w Polsce była okupacja niemiecka, ale zbrodnie już nazistowskie.

Właśnie. Inaczej wygląda natomiast opowieść o wypędzonych. Tu w grę wchodzi nie kategoria Vaterland, czyli wielkiej ojczyzny, ale Heimat – małej ojczyzny, utraconej ojczyzny na wschodzie. Tu jest miejsce na wzruszenia, emocje, sentymentalizm. Tu jest pełne utożsamienie się z niemieckim losem.

Jak więc Polska powinna zachować się wobec niemieckiego wyzwania?

Nie mamy zbyt wielu możliwości oddziaływania na Niemcy. Zresztą nie jest naszą rolą wpływanie na ducha niemieckiej polityki. Powinniśmy natomiast pilnować dwóch rzeczy. Po pierwsze: relacji niemiecko-rosyjskich. Z polskiego punktu widzenia jest niebezpieczne, by Niemcy żywili putinowskie monstrum, które jest dla nas egzystencjalnie zagrożeniem. Po drugie: nie można dopuścić, by Niemcy przez swoją przewagę ekonomiczną narzucili Europie rozwiązania, które ograniczą lub trwale zdefiniują warunki naszego własnego rozwoju.

Z Markiem A. Cichockim rozmawiał Grzegorz Górny